

#### Fragment nr 4

Zofia Kossak, *Ku swoim*, Łomianki 2016, (fragmenty ze str. 81-81, 106-122)\*.

*Ku swoim* to ozdobiona ilustracjami Karola Kossaka powieść, wydana po raz pierwszy w 1931 r. Janek, najmłodszy z trójki rodzeństwa, często buszuje po zdziczałym parku wokół ruin swego domu i czyta znalezione wśród zgliszcz książki z dworskiej biblioteki. On jeden z całej rodziny darzy to tragiczne, naznaczone krwią ojca miejsce najczystszą miłością i on jeden ma za nim wkrótce zatęsknić. Na razie jeszcze nie wie, że matka, chcąc chronić dorastające dzieci przed systemem sowieckim, coraz natrętniej zakradającym się do serc i umysłów młodych ludzi, chce nielegalnie przedostać się do Polski. Wybrany fragment pokazuje moment ucieczki rodziny do ojczyzny, obławę w postaci oddziału poszukującego zbiegów oraz chwilę przekroczenia przez Turskich granicy. Jak teraz będą dalej żyć?

Bohaterowie: matka (pani Turska), jej dzieci: Włodek, Irka, Janek, piastunka Morta

\*zachęcamy do przeczytania całej książki

[...] Więc teraz stojąc samotni na wzgórzu, poglądali na wieś do woli. Wyglądali Motry, która pewno już wyszła za próg i patrzy za nimi. Nie widzieli jednak nic poprzez tęczące się w powiekach łzy.

Trzeba iść. Daleka droga. Podjąwszy z ziemi węzełki, wyszli z cmentarza na drogę. Nagle matka przystanęła, schwyła Janka za rękę:

-Janeczku - szepnęła - wiesz, idziemy do Polski, już tu nigdy nie wrócimy...

- Wiem, mam - odparł mały mężczyzna spokojnie. Po chwili dodał z przekonaniem: - Ale ja wrócę, jak tylko dorosnę, obiecałem Sydorowi...

Ścisnęła mocno, miłośnie drobną łapkę, spoczywającą w jej dłoni. [...]

\*

Zerwali się na równe nogi w podświadomym przekonaniu, że zaszło coś groźnego, strasznego.

- Spasajties!<sup>69</sup> - krzyczał ochryłym głosem gospodarz.

- Do lasu! Do lasu! - wrzeszczała piskliwie Ulana.

- Milcz, durna! W lesie obława! Wszędzie szukają... Do komory!... Skoro!

Wepchnął przerażonych do izby, z izby przez wąskie drzwiczki, wysoki próg, do alkierza<sup>70</sup>, komórki raczej, ciasnej, ciemnej, bez okna lub wejścia innego niż drzwi łączące z izbą. Na ziemi leżała przegniła słoma. Było tak ciasno, że ledwo się pomieścili.

- Nie ruszajcie się, bo śmierć nasza i wasza - warknął za nimi gospodarz.

Zatrzasnął drzwi. Uwięzieni posłyszeli, że zabijano je gwoździami gęsto, mocno. Potem podsunęto pod nie ławę, na ławie stawiano coś ciężkiego, pewno dzieżę<sup>71</sup>.

Przez chwilę w chacie panowała cisza. Naraz za ścianą załomotały kopyta, do izby weszło kilku ludzi, dzwoniących bronią, mówiących głośno, napastliwie po rosyjsku. Przez szpary w ścianie zamknięci słyszeli wyraźnie, dokładnie każde słowo.

Mikołaj Grigorjewicz, komandir<sup>72</sup> oddziału krasnoarmiejców, lustrujący granicę, rozsiadł się w izbie w towarzystwie dwóch podwładnych i jednego przedstawiciela władzy cywilnej.

<sup>69</sup> *Spasajties!* (ukr.) - Ratujcie się!

<sup>70</sup> *alkierz* - boczny mały pokój, służący za sypialnię

<sup>71</sup> *dzieża* - duże drewniane naczynie służące do wyrabiania ciasta na chleb

Kazali dać sobie jeść - jajecznicy ze słoniną i sera. Gospodyni z płaczem przysięgała, że nie posiada nic w spizarni, lecz po chwili smakowity zapach smażonej sperki<sup>73</sup> przesączył się aż do komórki. Niepożądani goście jedli żarłocznie, głośno, rozprawiając żywo.

- A to co za drzwi? - zapytał nagle komandir.

- To chlew... pusty, bo świnię zarekwirowali jeszcze wiosną... Chcecie zobaczyć, towarzyszc komandir?

- Chcę.

- Zaraz otworzę... Jeszcze zimą ja je zabił, żeby świnia do izby nie laźła... Dawaj siekierę, Paraska!

Skurczeni więźniowie przywarli do ściany przerażeni. Irka szczękała głośno zębami.

Lecz Paraska darmo przerzucała polana, szukając hałaśliwie siekiery.

- Nie ma - zdecydowała. - Iwan wziął do lasu... Proś, Mykoła, komandira, niech pośle towarzyszców naokoło... obaczą tamtymi drzwiami... I gwoździ szkoda psuć...

- Można - zgodził się dygnitarz. - Wasylu Mikołajewicz, idźcie z chazajnem<sup>74</sup> zobaczyć...

Kroki obu mężczyzn okrążyły chatę, ścichły. Truchlejący uchodźcy czekali z bijącym sercem, co nastąpi. Przecież komórka innego wejścia jak to z izby nie miała!

Nie mogli zaś wiedzieć ani przeczuć bezszelestnej, niemej sceny, która rozegrała się tuż za węglem domu, a w wyniku której dwa czerwienice powędrowały z kieszeni gospodarza do kieszeni sowieckiego oficera.

- Chlew pusty, nie ma w nim nic, towarzyszc komandir - meldował po chwili Wasyl Mikołajewicz, wracając do izby.

- Nu, charaszo<sup>75</sup>... - odmruknął dowódca.

Jedli dalej, zapijając gęsto samogonkę. Gospodarz ofiarował dygnitarzom dwa „bociany” wódki, kupionej rzekomo przez, niego w mieście. Przyjęte zostały chętnie. Czas mijał im szybko, w przeciwieństwie do nieszczęsnych więźniów, dla których włókł się niemiłosiernie.

Skuleni w niewygodnej pozycji, z podgiętymi odrętwiałymi, ścierpłymi nogami, nie śmieli wykonać najmniejszego ruchu, by nie zaszeleścić słomą, nie zdradzić swej obecności. Nie śmieli odetchnąć. Z przerażeniem myśleli, co będzie, jeżeli które kichnie lub zakaszle. Godziny sunęły niemiłosiernie rozwlekle.

Nagły przeraźliwy huk wstrząsnął chatą, sypnęły się drzazgi z drzwi i ze ściany komórki tuż nad głową Włodka. Matka zerwała się, lecz bohaterskim wysiłkiem stłumiła okrzyk. Milczeli wszyscy, spoglądając tylko na siebie przerażonymi oczami. W izbie komandir chępił się nowym, niedawno otrzymanym rewolwerem.

- Dobrze bije, popatrz no, Mykoła...

Nowy huk. Nowa dziura w drzwiach i ścianie niedaleko poprzedniej. Pochylają się nieszczęsne głowy niżej, ach, niżej; łomocą serca... Trzeci strzał, czwarty, piąty, już drzwi jak rzeszoto<sup>76</sup>, przeciwległa ściana upstrzona kulami, co cudem jakimś ominęły dotąd głowy i piersi. Siedząca z boku, jakby dla ironii najbezpieczniejsza z nich czworga matka, patrzy nieprzytomnie, jak lada chwila rozstrzelają na jej oczach dzieci. Kule świszczą tuż koło nich. Nie wiedzieć co nastąpi wcześniej: czy zabiją ich kule, czy drzwi postrzelane wypadną, odsłaniając zbiegów?

Rozpaczna bezsłowna modlitwa rwie się z serca matki. Poprzez lecące drzazgi widzi oniemiałe z trwogi twarzyczki. Janek nie wydaje szeptu, lecz po ruchu zsiniałych ze strachu usteczek domyśla się, że powtarza: „Mamusiu... mamusiu... mamusiu”... Irka jest blada, jakby ją już uszła wszystka krew, Włodek za każdym strzałem zacina z pasją wargi.

---

<sup>72</sup> komandir - dowódca

<sup>73</sup> sperka - słonina

<sup>74</sup> z chazajnem - z gospodarzem [przyp. do wyd. I]

<sup>75</sup> charaszo - dobrze [przyp. do wyd. I]

<sup>76</sup> rzeszoto - sito z dużymi otworami

- Dobrze, że świni już nie ma, ubiliby wy ją, towarzyszc komandir - mówi w izbie obojętnie gospodarz.

Komandir śmieje się zadowolony. Wystrzelił już trzy magazyny i odrzuca rewolwer na stół.

-Jakby wy tam jakiego drania chowali, też byłby ubity -stwierdza z satysfakcją, wracając do samogonki.

Jeszcze godzina długa, przeraźliwa i... tętent kopyt za oknami. Komandir i jego krasnoarmiejcy odjechali. Nie śmieją wierzyć jeszcze umęczone serca.

W izbie słysząc łoskot. Mykoła siekierą odgina gwoździe przy drzwiach.

- Żywe? - pyta, wsuwając rozczochrany łeb.

- Żywe...

- Wszystkie? Macie szczęście... Można wyjść, już pojechała swołocz... Swołocz... - powtarzał, z żalem oglądając podziurawione drzwi.

Ani spojrzął na wybladłych, słaniających się na nogach więźniów. Jedna Ulana ulitowała się dygocącej, bladej jak papier buzi Janka i objęła go ramieniem.

- Nie bój się. Zaraz wam damy jeść. Oni już nie wrócą.

- Nie wrócą na pewno? - pytała z przerażeniem Irka, oglądając się wahająco na opuszczoną przed chwilą komórkę.

- Nie wrócą - burknął Mykoła - będzie spokój z tydzień, siadajcie jeść.

Lecz oni mieli gardła ściśnięte poprzednim przerażeniem i czarne, grube kluski, które w innym czasie smakowałyby tak znakomicie, więzły im w przełyku. Po posiłku, zachęceni przez gospodynię, wyszli do lasu, legli bezwładnie na pachnącej pościeli. Czuli się do cna wyczerpani, wypruci z sił. Trwoga ogarniała ich przed tym, co jeszcze nastąpi.

Ogarniając wzrokiem trzy najukochańsze głowy, zawierające całą rację i sens jej życia, matka rozważała przyszłość, oddawała ją Bożej opiece. Jutro o tej porze gdzie będą? Może wszyscy czworo szczęśliwi w Polsce? Może martwi? Może, o najstraszliwsza doło, o rozpaczy, ona żywa, a dzieci zabite? Boże! Boże!

\*

Niebo różowiało, z głębi boru zawiewał chłód. Las ciemniał. Zlewał się w jedną masę, a zarazem wypełniał tysiącem wieczornych głosów. Żaby podjęły swe chóry na pobliskich łąkach.

Ziewając i drapiąc kudły Iwan i Proć zleźli ze stogu z sianem, na którym przespali spokojnie cały dzień, nierozbudzeni strzałami ani wizytą komandira.

- Niedługo pójdziemy - rzucili, przechodząc.

Matka przeżegnała się i wszyscy czworo tknięci jedną myślą uklękli:

- Pod Twoją obronę [uciekamy się], Święta Boża Rodzicielko...

\*

- Proć już poszedł wprzód, a my zaraz za nim - rzekł Iwan. - Zbierajcie się.

- Dalibyście mi już tę kartkę do Żyda - zauważył gospodarz, patrząc na odchodzących spode łba.

- Mam ją przecież dać dopiero po przejściu przez granicę - odparła pani Turska wylęknięta.

- Wszystko jedno, dajcie lepiej zaraz.

- Nie dam, aż po tamtej stronie - odparła stanowczo.

- Patrzaj jaka! Wydam cię zaraz bolszewikom...

- Wydawaj!

Splunął ze złością i wrócił w głąb chaty. Gospodyni z córką zostały na progu.

- Ostawajcie z Bogiem - rzekła do nich pani Turska serdecznie.

Nie była to serdeczność udana. Wszakże obie te kobiety były ostatnimi ludźmi, jakich żegnały w opuszczonym kraju.

- Z Bogiem - odparły równocześnie zaskoczone. Poszli w las za Iwanem, który szedł szybko naprzód. Mrok gęstniał. Deptali suche igliwie, trzeszczące pod nogami, to brodzili przez gąszcz paproci, sięgających bioder. Chwytały ich za nogi długie pęty<sup>77</sup> widłaków, przytrzymywały kolczaste wicie malin. Wyteżając wzrok w ciemności, matka prowadziła Janka za rękę, Włodek z Irką szli tuż za nią. W boru leżała cichość, która zdawała się im pełną grozy. Nagle po dwugodzinnej blisko uciążliwej wędrówce Iwan przystanął.

- Tu poczekamy - szepnął.

- Na co?

- Na Procia.

- Myślałam, że do granicy jest bliżej - zauważyła znużonym szeptem pani Turska, opierając się o drzewo.

Iwan roześmiał się w ciemności.

- My nie tacy głupi, żeby blisko chaty przechodzić... odeszli my w bok, dopiero teraz pójdziemy... ale cicho!

Zamilkli, przytuleni do drzew, niewidzialni w mroku, wessani, wchłonięci przez las. Czekali długo. Naraz w prawo o kilometr może od nich rozległ się strzał jeden, za nim sypnęły się salwą następne. Las rozdrgał się hukami i echem.

- Boże! Co to? - wzdrygnęła się pani Turska.

- To Proć... cicho!

Zatętniały kroki z lewej strony. Ktoś biegł w kierunku strzałów. Z karabinem w rękę, w charakterystycznej spiczastej czapce strażnik sowiecki zamajaczył między drzewami. Zatrzymał się o kilka kroków od nich, jakby nasłuchiwał, i pobiegł w kierunku strzałów.

- Teraz! - syknął Iwan. - A skoro!!

Schwycił Janka za rękę, zarzucił go sobie na plecy jak barana i pognął naprzód. Mimo ciężkiej postawy biegł bezszelestnie prawie, ruszając się zwinnie jak cień. Pozostali troje nadążali z trudem za nim, darmo starając się stąpać równie jak on zręcznie i ostrożnie. Potykali się o nierówności gruntu, uderzali w ciemni głowami o drzewa. Dyszeli ciężko, szczególnie matka. Świszczący oddech wydobywał się z trudem z jej piersi. Potykała się raz po raz, omal nie upadła. Włodek podtrzymał ją, opasał w pół mocnym ramieniem.

- Puść mnie - prosiła - biegnijcie prędko z Irką naprzód... Prędko, bo nie nadążycie... och, już go wcale nie widzę!

- Irka, biegnij, trzymaj się tuż za nim, my za tobą...

- Puść mnie, synku! Jakoś się dowlokę... byle...

- Cicho, matuś, nie zostawimy cię przecież...

Biegli dalej, milcząc. Włodek włókł już prawie matkę za sobą. Nie mogła schwycić tchu i słaniała się bezsilnie.

- Puść mnie, zostaw... biegnij sam...

- Nie!

-Ja nie mogę już... Włodek... ja ci każę! Idź!

Wyteżył wszystkie siły, ujął mocno przeguby jej rąk, podsadził się pod nią, wziął ją na siebie pomimo oporu i zgięty w pół pobiegł naprzód. Bezładna jej głowa leżała na jego głowie. Wlokące się po trawie nogi szeleściły głośno, zaczepiały o korzenie. Chłopcu łomotało w skroniach z wysiłku, mięśnie omdlewały z bólu. Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę! Byle nie upaść! Nie upaść! Z wzrokiem utkwionym w plecy biegnącej przed nim Irki

---

<sup>77</sup> pęty - sznury

pośpieszał, jak mógł, wyrywał każdy krok w nieopisanym trudzie, zdobywał go na samym sobie w nadludzkim wysiłku. Zataczał się, przystawał, znów biegł w niepewnym świetle napelniającego las brzasku.

- Włodziu, syneczku, zostaw mnie! - szeptała matka z rozpaczą.

Nie odpowiadał nic, rżąc głucho z wyczerpania. Nie wiedział już, gdzie są ani jak długa czeka go jeszcze droga.

Iwan nie przystawał, Irka zadyszana, zmęczona, obracała się raz wraz na brata z rozpaczą. Zaplątał się nogami w wysokie jagody, tak zwane pijanice, i stanął.

„Nie mogę... muszę odetchnąć...” - pomyślał.

W tej chwili, gdzieś niedaleko za nimi buchnęły wrzaski i strzały.

- Bieżyte!<sup>78</sup> - zawrzasnął na cały głos Iwan i pomknął przodem pod wzgórze.

Zapominając o bólu i zmęczeniu, śmiertelnym wysiłkiem Włodek pobiegł za nim z najdroższym ciężarem na plecach. Groza decydującego momentu zdwoiła, stroiła jego siły. Wspiął się na wzgórze, gdzie zamajaczył mu jakiś kamienny słup, zbiegł, a raczej stoczył się w dół, upadł nieprzytomny, zwałił się na siedzącego Iwana i rodzeństwo.

- No, udało się... - rzekł chłop - dawajcie kartkę...

- Czy my już w Polsce? - zapytała urywanym głosem pani Turska, podtrzymując głowę leżącego bez tchu Włodka.

- A niby gdzie? Nie widzieli wy słupa? Tu już nie przyjdą... I nie strzelą, bo za górką... dawajcie...

- Polska - powtórzyła z upojeniem matka. - Polska... ależ dam, owszem zaraz... tylko skąd papieru, ołówka?

- Mam, Żyd mi dał... piszcie prędko... - wyciągnął zbrudzoną kartkę i ołówek zza cholewy.

„Kochany panie Silbermann - pisała drżącą ręką matka, oparłszy kartkę o plecy Irki - jesteśmy już... niech panu Bóg...”

- Dawajcie!... - mruknął Iwan, wyrwał niedokończoną kartkę z ręki i znikł w krzakach.

\*

- Stać! Co za jedni? - zagrzmiało nagle gromko przed nimi. Rumiany, pyzaty, doskonale odziany żołnierz KOP-u<sup>79</sup> wychynął spośród drzew.

- Nasz! Polak! - złożyła ręce matka.

- Irka! Patrz! Żołnierz polski! - pisał z uniesieniem Janek. - Panie! Czy pan jest naprawdę polskim żołnierzem?!

- Gdzie papiery?! Nielegalne przejście granicy... za mną do dowództwa!... - rzekł urzędowo przybyły, udając, że nie słyszy, lecz wzrok jego daremnie usiłował być groźnym.

Ruszyli przed nim, Włodek chwiał się jeszcze z lekka, w głowie mu huczało i matka prowadziła go teraz z kolei pod rękę.

- A co on? Chory? - zapytał żołnierz.

- Nie, tylko bardzo zmęczony... ja biec nie mogę i on, mój syn kochany, niósł mnie taki kawał... chyba więcej jak kilometr.

- Porządny chłopak - stwierdził krótko szeregowiec. Nie zważając na nic, Janek uczepił się jego ręki, głośno podziwiając mundur, z nabożeństwem dotykając karabinu i orła na czapce, zadając tysiączne pytania, na które sam sobie odpowiadał, aż rozbrojony jego dzieciinną serdecznością młody wojak zauważył mimochodem:

- Dowództwo odsyła z powrotem takich, co nielegalnie przechodzą, ale was na pewno zostawi...

- Odsyła? - zapytała z przerażeniem pani Turska.

<sup>78</sup> *Bieżyte!* (ukr.) - Biegnijcie!

<sup>79</sup> *KOP*- Korpus Ochrony Pogranicza [przyp. do wyd. I]

- Ano. Jakżeby inaczej? Toż by agitatorów komunistów naszło tu jak szczurów. I tak dość tego draństwa przełazi, choć się pilnuje... Ale uczciwych ludzi nie odeślą.

Wyszli z lasu na obszerną polanę, pośrodku której wznosiła się strażnica KOP-u, nowy budynek wzniesiony z wielkich bierwion<sup>80</sup>, z wieżyczką obserwacyjną na dachu. Grzędy kwiatów kwitły przed wejściem.

W kancelarii dowództwa przy palącej się jeszcze lampce naftowej drzemał dyżurny podoficer.

- Siadajcie tu, niedługo pan kapitan przyjdzie - rzekł do przybyłych, przyjąwszy meldunek żołnierza.

Stukając butami, szeregowiec wyszedł. Od drzwi uśmiechnął się jeszcze do Janka. Dyżurny zapadł w poprzednią drzemkę. Oni siedzieli nieruchomo, patrząc w milczeniu dookoła.

Lampka świeciła żółto, zza okna wlewało się światło błękitne. Świat z perłowo szarego stawał się niebieski. Na ścianie białął i stroszył się orzeł na czerwonej tarczy i uchodźcy przywarli oczami do tej świętości z niedowierzającym radosnym zdumieniem. Myśli ich rozpiezchły się na poły przytomne.

A więc stało się... Byli już w Ojczyźnie. Siedzieli tu niby na krawędzi życia, granicy rozcinającej ich bytowanie na dwie niepodobne do siebie części. Przeszłość się skończyła - przyszłość zaczynała. Jaką się okaże? Co im przyniesie? W jaką formę oblecze się ich istnienie?

Matka z bolesnym skurczem serca spoglądała na swe dzieci. Jakież były mizerne, chude, obdarte! Istne nędzoty. Twarzyczka Irki w poświacie świtu zdawała się przeźroczystą. Z westchnieniem nadziei matka pomyślała, że teraz wśród swoich te jej najdroższe dzieci staną się rumiane, wesołe, że będą porządnie odziane i obute, że wyrosną na szczęśliwych, pożytecznych ludzi, na wolnych ludzi!

Włodek z Irką myśleli oboje o tym samym: o czekającej ich szkole, o przyszłych kolegach i koleżankach. Jak ci nowi towarzysze ich przyjmą? Będą umieć nieskończenie więcej; czy zatem nie będą wyśmiewać się z biednych przybyszów? Czy nie wezmą ich za nieuków, próżniaków? Czy zechcą powitać jak swoich?

Wpatrzony w jasny dzień za oknem, mały Janek nie myślał o tym, co będzie. Zegnał przeszłość. Przed oczami widział stary, opuszczony park przy spalonym dworze, wyspę Robinsona, dziurawą łódkę, a w ślad za tym starą Motrę (pocziwa, droga starowina! Co robi teraz? Czy bardzo tęskni za nimi?) i przyjaciela Sydora (Kochany Sydor! Czy pamięta o nim? Czy czeka jego powrotu?). Dziecinne serduszko ścisnęła nagła, gorąca tęsknota za opuszczoną ojcowizną i podnosząc oczy na matkę, szepnął półgłosem:

- Ale wrócimy tam kiedyś, mamusiu? Obiecałem Sydorowi...

Matka uśmiechnęła się do niego przez łzy.

---

<sup>80</sup> *bierwiona* - pnie drzew oczyszczone z gałęzi, belki, kłody